

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

**- Im bardziej jesteś „kimś”,
tym bardziej musisz pamiętać,
że jesteś nikim...**

s. 16-17

Prawa człowieka

- czy są respektowane w XXI w.?

s. 4-5

Aмерыkańskie wybory w świetle fleszy

W Krakowskiej Szkole Wyższej zorganizowano
Noc Wyborczą, s. 12-15

miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 30, listopad 2008

3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 4 Prawa człowieka – czy są respektowane w XXI w.?
- 6 Istnieje pewna granica uległości, za którą jest już tylko bezradność i zdanie na łaskę silniejszego

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 8 Płaszczyzna wymiany poglądów i doświadczeń
- 10 Zajęcia w terenie
- 11 Lustro weneckie, czyli rzecz o lustracji

Temat z okładki

- 13 Amerykańskie wybory w świetle fleszy

Kraków od spodu

- 16 - Im bardziej jesteś „kimś”, tym bardziej musisz pamiętać, że jesteś nikim...
- 18 Genetyczna pomyłka czy znak naszych czasów, czyli bajka o muzycznej hybrydzie
- 19 Dr Alban jak za dobrych lat
- 20 Zabierzcie swoje pióropusze i w drogę

FeLieTon

Fobia Ludzi Trudnych

- 22 Podwójny nelson

redaktor naczelny Bartłomiej Misiniec

zastępca redaktora naczelnego Bartosz Walat

redakcja Iga Bałos
Iwona Faron
Grzegorz Makuch
Joanna Oparcik
Agnieszka Prostań
Magdalena Zakrzewska
Anna Zielińska
Mateusz Płocica
Bartosz Walat
Maciej Pietrzyk
Daniel Wilk
Mirka Kędzierska

zdjęcia Mirosław Żak
Grzegorz Ladra

dtp i layout
okładka Mateusz Janusz (hussars.pl)
Monika Szewczyk

adres do korespondencji [mixon_ksw@interia.eu](mailto:mixer_ksw@interia.eu)

druk Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład 2000 egzemplarzy

opieka redaktorska Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Bartłomiej Misiniec redaktor naczelny

Apéritif

Witam wszystkich w nowym roku akademickim, który rozpoczął się od wielu zmian. Przede wszystkim Krakowska Szkoła Wyższa otworzyła już trzeci budynek, w którym oprócz sal wykładowych znajdują się pokoje dla gości. Okazały gmach dołączył do pozostałych budynków mini-miasteczka studenckiego na Zabłociu.

Wydział Politologii i Komunikacji Społecznej, który rozciąga opiekę nad czasopismem „Mixer”, od tego roku ma też nową panią dziekan – prof. nadzw. dr hab. Katarzynę Pokorną-Ignatowicz, i nową prodziekan – panią dr Annę Frątczak.

Zmiany nastąpią także w składzie naszej redakcji. Ponieważ obowiązki zawodowe nie pozwalają mi już poświęcać wystarczająco dużo czasu dla „Mixera”, zaproponowałem na moje miejsce kandydaturę Bartosza Walata, który podczas rocznej współpracy przy wydawaniu czasopisma wykazał wszystkie te cechy, które – ufam – nie tylko pozwolą utrzymać poziom pisma, ale sprawią, że stanie się jeszcze lepsze i o wiele ciekawsze!

Mnie pozostaje pożegnać się z wszystkimi, dziękując za miłych kilka lat wzajemnych kontaktów i licząc, że nowego redaktora przyjmiecie równie dobrze, a „Mixer” w dalszym ciągu stanowić będzie dla Was ciekawe źródło informacji z życia naszej uczelni.

Trzymajcie się ciepło!



Bartosz Walat

Pierwsze zdanie powinno wyznaczać nową jakość i nadawać kształt wszystkiemu temu, co następuje w dalszej kolejności. Nietrudno zauważyć, że w tym przypadku nie ma już miejsca na takie deklaracje. Wszystko sprowadza się do tego, że to praktyczny kształt „Mixera” będzie ukazywał nową specyfikę, jaką – mam nadzieję – uda nam się zrealizować.

Z tego miejsca chciałbym jedynie podziękować za powierzoną mi misję i nałożoną odpowiedzialność, która jako czynnik mobilizujący już w niedługim czasie powinna przełożyć się na efekty redakcyjnej pracy.

Na koniec pragnę zaznaczyć, że redakcja „Mixera” wciąż oczekuje na Was! Jeżeli chcecie się wykazać i poznać mechanizmy rządzące strukturą naszego czasopisma, czekamy na propozycje i zgłoszenia. Rozpoczął się nowy etap w historii magazynu i zależy nam by wspólnymi siłami utrzymać wysoki standard, jaki od lat jest jego znakiem rozpoznawczym.

Spotkanie z prezesem
Europejskiego Trybunału
Praw Człowieka w KSW

Prawa człowieka – czy są respektowane w XXI w.?

Mirka Kędzierska

25 października br. Krakowska Szkoła Wyższa miała zaszczyt gościć prezesa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka Jeana-Paula Costę oraz polskiego sędziego tegoż Trybunału prof. Lecha Garlickiego. Spotkanie przebiegało pod hasłem: „Aktualne problemy orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – sprawy polskiej przed Trybunałem”.

Na konferencję zaproszeni zostali krakowscy dziennikarze, w tym nie zabrakło naszej Krakowskiej Telewizji Internetowej, na stronie której można zobaczyć materiał z przebiegu spotkania. Dzięki temu, że spotkanie miało charakter konferencji prasowej, każdy, kto był na sali, miał możliwość otrzymania odpowiedzi na nurtujące go pytania.

- Dlaczego, choć źródłem Praw Człowieka jest ludzka godność, wciąż trudno odnaleźć jej jednoznaczną definicję?

- Jak Trybunał podchodzi do kwestii takich jak adopcja dziecka przez pary homoseksualne?

- Czy uwagę zwraca się jedynie na aspekty prawne, czy również etyczne?

- Jak wytłumaczyć fakt, że pra-



wa człowieka w Europie Środkowo-Wschodniej nie są respektowane?

- W końcu czy Trybunał nie mógłby stworzyć aparatu przymusu, który by nie dopuszczał do łamania tych praw?

Jean-Paul Costa odpowiadał na pytania dotyczące obowiązującego dziś orzecznictwa. Staral się bardzo dokładnie omówić każdy z poruszanych problemów, jednakże czasami pytania były tak szerokie, że, jak stwierdził sam prezes, odpowiedź na jedno z nich mogłaby zająć czas poświęcony na całą konferencję.

Choć przewidzianych zostało ok. 40 minut, gość w szczególny sposób skupił się na sprawie polskiej. Zwrócił uwagę na to, że liczba skarg skierowanych przeciwko naszemu krajowi zmalała w znaczący sposób: *„Notowania Polski na tle innych państw znacznie wzrosły. W wewnętrznym rankingu Trybunału Polska lokuje się na 6. miejscu”*. Jednak zwrócił uwagę na to, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej mają jeszcze wiele do zrobienia w kwestiach respektowania praw człowieka.

ETPC został stworzony kilka lat po zakończeniu II wojny światowej (4 listopada 1950 r.) w celu zapewnienia większej ochrony i wolności jednostkom. Liczba państw, które deklarują się przestrzegać praw zapisanych w Konwencji, wciąż się powiększa. Obecnie podpisanych jest 47 państw. Na przyjęcie do Trybunału czeka jeszcze wiele państw. Przynależność do takiej organizacji nadaje prestiż i zwiększa znaczenie na arenie międzynarodowej, dlatego też orzeczenia ETPC z reguły skłaniają członków do zmian w prawie krajowym.

Każdego roku do Trybunału wpływa przeciętnie 100 tys. skarg. Nietrudno się domyślić, że ma to ogromny wpływ na czas rozpatrywania napływających wniosków. Dla niektórych okres co najmniej 3 lat wyjaśniania bolesnych problemów może się wydawać o wiele za długi, jednak żeby przyspieszyć system orzecznictwa, trzeba usprawnić działania Trybunałów Sprawiedliwości w krajach członkowskich.

Z obserwacji wynika, że w sferze ochrony praw człowieka Polska odrabia zadania na bieżąco. Być może za kilka lat, jeśli utrzymamy takie tempo reform polskiego kodeksu postępowania karnego, nasi sąsiedzi będą mogli brać z nas przykład...



Prezes Europejskiego Trybunału Praw Człowieka Jean-Paul Costa



Wszyscy zachodni politycy są zgodni, że Gruzji nie można pozostawić samej sobie. Większość proponuje rozwiązania z zakresu realpolitik. Ale do mniejszości należą ci, którzy w jasny sposób określają granicę ustępstw wobec imperialistycznych zapędów Rosji

Istnieje pewna granica uległości, za którą jest już tylko bezradność i zdanie na łaskę silniejszego...

Grzegorz Makuch

Realpolitycy Zachodu reprezentują dziś dwie postawy wobec przejawów imperializmu w polityce Rosji. Pierwsza to zwierranie NATO-wskich szeregów, przemysłana, twarda polityka wobec tego kraju, w dalszej perspektywie uniezależnienie energetyczne od wschodniego sąsiada i otwarcie Unii Europejskiej i Paktu Północnoatlantyckiego na Ukrainę i Gruzję. Druga opcja zawiera natomiast propozycje nowego podziału świata – procentowo na serwetce, jak niegdyś – między dwa duże bloki i zamknięcie europejskich drzwi przed byłymi republikami radzieckimi, żeby nie drażnić Rosji i nie ryzykować utraty pokoju.

Wydaje się jednak, że druga propozycja jest drogą po równi pochyłej, wprost do paszczy... niedźwiedzia! W stosunku do Rosji ustępstwa nie zatrzymają eskalacji żądań, lecz będą mnożeniem kolejnych: dajcie nam Gruzję, Ukrainę, a potem zobaczmy, co jeszcze! Ponadto podział Europy na dwa duże bloki nie zagwarantuje pokoju, ale wręcz przeciwnie – skryształizowane i spolaryzowane grupy państw dopiero wówczas będą gotowe do konfliktu, gdy granice i różnice między nimi staną się wyraźne i będzie wiadomo, kto „wróg”, a kto „swój”.

Długi XX wiek (a właściwie jego politycy) udowodnił, że ustępstwa i ra-

towanie pokoju w Europie kosztem „małego układu w Monachium” ma działanie odwrotne od zamierzonego. Tylko naiwni i tchórzliwi wciąż się ludzą, że glód kilkunastokrotnej imperialnej polityki Rosji można zaspokoić maleńką Gruzją i skłóconą Ukrainą, a rozbiórkę tej drugiej zacząć od odebrania, danego w 1954 r., w trzechsetną rocznicę ugody perejasławskiej, Krymu. Taka propozycja padła już z otoczenia prezydenta Miedwiediewa. Rozbiór Czechosłowacji w 1938 r. także rozpoczęto od terytorium quasi-spornego, Sudetów, a potem już nikt nie podnosił larum, gdy w 1939 r. Niemcy, zajmując Pragę, kończyli to, co zaczęli rok wcześniej.

Czy podobnie będzie z ukraińskim, aczkolwiek pełnym rosyjskich wpływów Krymem? Przypomnijmy, że w 1938 r. porozumienie z Hitlerem, na mocy którego Sudety włączono w skład Niemiec, Neville Chamberlain, premier Wielkiej Brytanii, nazwał *pokojem dla naszych czasów!* Historia pokazała, że wizjonerem okazał się Winston Churchill, który owo porozumienie skwitował cierpko, acz prawdziwie, że *Mieli do wyboru hańbę, albo wojnę. Wybrali hańbę, a wojnę dostaną i tak.* To prawda, że zawsze wygrywa ten, kto się nie boi wojen...



YARROK 2008

To, co może być dopiero przyszłą perspektywą dla Ukrainy, jest już rzeczywistością w wypadku Gruzji. Abchazja i Osetia Południowa zostały nie *de iure*, bo jako samodzielne państwa uznaje je tylko Rosja, ale *de facto* oderwane od macierzystego terytorium. W polityce liczą się fakty, a nie słowa. Następnym

krokiem było zanegowanie legalności rządu Saakaszwilego. Czy trzecim krokiem będzie odmówienie Gruzji prawa do samostanowienia, by pod płaszczykiem troski i ochrony starszego brata zaanektować teren małego państwa?

Zależy to od postawy polityków Zachodu, a zwłaszcza Nicolasa Sarkozy'ego, który przewodząc w tym półroczu UE, jako prezydent Francji, stanowczo potępił już Rosję za uznanie dwóch separatystycznych republik i wyraził daleko idącą dezaprobatę dla niecałościowego realizowania przez Rosję sześciopunktowego planu rozjemczego, ustalonego w sierpniu na Kremlu. Decyzję Rosji skrytykował również minister spraw zagranicznych Szwecji Carl Bildt, określając ją rozmyślnym złamaniem prawa międzynarodowego oraz zasad mających podstawowe znaczenie dla stabilności sytuacji w Europie.

W podobnym tonie wypowiedział się szef włoskiej dyplomacji Franco Frattini, dla którego uznanie przez Rosję niepodległości Abchazji i Osetii Południowej „nie ma oparcia w prawie międzynarodowym”. Frattini nie krył również rozgoryczenia, kiedy ocenił „jednostronną” decyzją Miedwiediewa. Z kolei minister spraw zagranicznych Finlandii chce podać pod ponowne przedyskutowanie politykę neutralności militarnej swego kraju, który nie jest w strukturach NATO, a jest sąsiadem Rosji.

Na polu UE zderzają się także interesy Wielkiej Brytanii, która optuje za twardym kursem, i Niemiec, które zmiękczały politykę Unii wobec ich ważnego partnera gospodarczego. Z kolei przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, sekretarz stanu Condoleezza Rice uznała za godne ubolewania decyzje Rosji o uznaniu przez nią separatystycznych republik. Polska w tej sytuacji próbuje wyrosnąć na lidera i przedstawiciela krajów Europy Wschodniej na arenie międzynarodowej, ale przy dwugłosie prezydenta – twardego polityka i premiera – porozmawiajmy, rola ta nie wydaje się realna!

Bez wątpienia Gruzini potrzebują nie tylko solidarności, ale i realnej pomocy. Warto przypomnieć, że w 1939 r. świat zachodni równie stanowczo potępił atak Niemiec na Polskę, a Francuzi nawet zbombardowali Berlin... ulotkami. Danie imperium rosyjskiemu *carte blanche* w sprawie jej sąsiadów jest zaprzeczeniem idei wolności, suwerenności, solidarności, fundamentów Unii Europejskiej, jak i zachodniej cywilizacji. Zatem albo UE wierzy w to, co głosi, albo skończy jak – *nomen omen* – Liga Narodów! Istnieje bowiem pewna granica uległości, za którą jest już tylko bezradność i zdanie na łaskę silniejszego. A silniejszy nie prosi, lecz bierze!

Mam nadzieję, że UE i NATO nie prześpią „małego Monachium” i skorzystają z szansy powiedzenia: „NIE!”. Jeszcze nie jest za późno, by wyznaczyć granicę uległości, za którą jest twarda polityka usuwająca Rosję z grupy G8 i zamrażająca jej kontakty z WTO. Przekroczenie politycznego Rubikonu ustępstw może sprawić, że to zachodnie organizacje okażą się tym razem kolosem na glinianych nogach, a świat zachodni zhańbi się po raz kolejny. ■



Międzynarodowa
konferencja naukowa
pn. „Państwo. Gospodarka.
Społeczeństwo” w KSW

Płaszczyzna wymiany poglądów i doświadczeń

Joanna Chodór
Katarzyna Filar

Pod koniec maja br. już po raz ósmy Krakowska Szkoła Wyższa zorganizowała międzynarodową konferencję naukową. Tym razem hasłem przewodnim były trzy istotne dla nas wszystkich zagadnienia: *Państwo. Gospodarka. Społeczeństwo*.

Dzięki dobrze zaplanowanemu podziałowi sesji na panele tematyczne wszyscy zainteresowani jej przebiegiem mogli wybrać poszczególne referaty i wystąpienia (m.in. dotyczące prawa europejskiego, administracji, polityki historycznej itp.) według własnego uznania.

W tym roku dużą popularnością cieszyło się zorganizowane po raz pierwszy w ramach konferencji, przez Katedrę Stosunków Międzynarodowych KSW, dwudniowe seminarium polsko-niemieckie. Dalo ono możliwość, przede wszystkim studentom, wysłuchania bardzo ciekawych referatów ekspertów i wykładowców polskich oraz zagranicznych uczelni, a także konfrontacji własnych poglądów, spostrzeżeń z opiniami i przemyśleniami grupy studentów, która wraz z kadrą profesorską przybyła na owo seminarium z Niemiec. Studenci również przygotowali wystąpienia.





Pierwszego dnia moderatorem dyskusji był prof. Jan Staszko. Jako pierwszy z własnym referatem wystąpił dr Marcin Lason. Starał się skutecznie przybliżyć nam prawdziwy obraz operacji wojskowych przeprowadzanych pod auspicjami Unii Europejskiej a także rolę i znaczenie polskich oddziałów w tych misjach. Jako przykładowe państwa, w których mają miejsce owe operacje, wybrał Demokratyczną Republikę Konga oraz Republikę Czadu.

Kolejnym referentem był prof. Lubomir Zyblikiewicz. Swoje wystąpienie poświęcił roli i perspektywom kształtowania się stosunków transatlantyckich. Kwestię kontrowersyjnego zagadnienia, jakim jest Gazociąg Północny, omówił prof. Ryszard M. Czarny. Przedstawił koszty budowy gazociągu, dokonał analizy poszczególnych problemów, jakie napotyka ta inwestycja. Prof. Bogdan Koszel zajął się rolą Niemiec w polityce międzynarodowej, ich mocarstwowymi aspiracjami. Przedstawił także problemy, z jakimi borykają się obecnie Niemcy, oraz ich ewentualne konsekwencje.

Dłuższe wystąpienie na temat europejskiego wymiaru polityki Niemiec wobec Rosji i Ukrainy oraz jej implikacji dla Polski miał prof. E. Cziomer. Następnie dr K. Stokłosa (TU Dresden) omówiła kwestię utrudnień granicznych, uszczelniania granicy wschodniej, historyczne przesłanki zagadnienia oraz obecną sytuację po wstąpieniu Polski do strefy Schengen.

Stanowisko Niemiec w kwestii dalszego poszerzania Unii Europejskiej przedstawiła dr Anna Paterek. Prof. G. Besier, kolejny referent z Niemiec, zajął się skutkami reżimów autorytarnych i totalitarnych dla dzisiejszego porozumienia między Polską a Niemcami. Przy tym zagadnieniu nie można było pominąć kwestii roszczeń cywilnoprawnych obywateli Niemiec wobec Polski, które są ostatnio powodem licznych sporów i kontrowersji. Tę kwestię w bardzo czytelny sposób przedstawiła dr Beata Moło, kończąc tym samym pierwszy dzień seminarium.

Drugiego dnia seminarium oczekiwaliśmy, w szczególności my, studenci, z dozą niepewności i lekkim zdenerwowaniem. Czekaliśmy bowiem, jak się później okazało, ożywiona i bardzo interesująca dyskusja, w której każdy głos wnosił coś nowego. Nim jednak do niej doszło, wysłuchaliśmy krótkich wykładów. Prof. dr hab. E. Cziomer omówił uwarunkowania historyczne i współczesne problemy stosunków polsko-niemieckich, prof. dr G. Besier przybliżył nam funkcjonowanie totalitaryzmów, dr K. Stokłosa przedstawiła problemy współpracy polsko-niemieckiej w regionie granicznym, dr A. Paterek zaprezentowała funkcjonujące w społeczeństwach polskim i niemieckim stereotypy, dr Moło przybliżyła europejski wymiar współpracy polsko-niemieckiej, mgr J. Smyka przedstawiła obraz Polaków i Polski w prasie niemieckiej, a mgr D. Trutkowski w interesujący sposób przedstawił proces transformacji w Polsce i w Hiszpanii.

Następnie rozpoczęła się dość burzliwa dyskusja, trwająca kilka godzin. Seminarium stało się płaszczyzną wymiany poglądów i doświadczeń. Studenci z Uniwersytetu Technicznego z Drezna mieli możliwość zdobycia wiedzy na temat Polski oraz stosunków polsko-niemieckich. Większość z nich ten właśnie przyjazd wiązało z pisaniami pracy dyplomowej o Polsce i Niemczech.

Studenci z Niemiec spędzili w Krakowie sześć dni. Zwiedzili m.in. Kopalnię Soli w Wieliczce oraz obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Kraków został zapamiętany przez niemieckich gości jako piękne miasto. Studenci z Niemiec zaprosili nas na seminarium, które w przyszłym roku odbędzie się w Dreźnie.

Oceniając seminarium polsko-niemieckie, można stwierdzić, że było to nowe doświadczenie, które zapewne zachęciło wielu z nas do dalszego poszerzania naszej, jeszcze często niekompletnej, wiedzy. Wniosło ono w nasze studenckie życie urozmaicenie, pozwoliło na spotkanie i poznanie ciekawych osobowości. ■

Studenci III roku agroturystyki odwiedzili obiekty
w przysiółku Kudłacz (gmina Pcim)

Zajęcia w terenie



Fot.2. Studenci zapoznają się ze sprzętem używanym do pracy z końmi. Pierwszy z prawej to Józek Zięba



Fot. 4. Pan Kudłacz częstuje kielbaskami



Fot.1. Pamiątkowe zdjęcie grupy z KSW
na tarasie gospodarstwa państwa Kudłaczów



Fot.3. Ten sprzęt i specjalną odzież do pracy
z końmi demonstruje p. Zięba

W połowie maja br., w ramach zajęć terenowych z przedmiotu: agroturystyka, wykładanego dla specjalności Ochrona środowiska na Wydziale Ekonomii i Zarządzania Krakowskiej Szkoły Wyższej, studenci III roku wyjechali do przysiółka Kudłacz (gmina Pcim), położonego na południowym cyplu Łysiny (871 m n.p.m.), oddalonego zaledwie niecałe 50 km od centrum Krakowa (fot. 1, fot. 2).

Odwiedzili tam dwa gospodarstwa agroturystyczne należące do państwa Kudłaczów i Ziębów. W ramach zajęć studenci przeprowadzili rozmowę z właścicielami, oceniając potencjał agroturystyczny nowoczesnych obiektów. Wyposażone one zostały w możliwość świadczenia usług zarówno noclegowych i gastronomicznych, jak i rozrywkowo-rekreacyjnych.

W odległości ok. 500 m od posiadłości państwa Kudłaczów znajduje się drugie gospodarstwo o charakterze agroturystycznym, specjalizujące się w jeździectwie i hodowli koni huculskich. Trójka dzieci gospodarzy, państwa Ziębów (Barbara 16, Klaudia 14 i Józef 10) uprawiają jeździectwo zawodniczo (fot. 3 i 4).

Po powrocie do zabudowań państwa Kudłaczów studenci wysłuchali pogadanki na temat walk partyzanckich z Niemcami w tamtym rejonie w latach 1942-1944, ilustrowanej autentycznymi zdjęciami i krótkimi filmami dokumentalnymi z tamtych lat. Owa pasjonująca prelekcja została przedstawiona przez mieszkającego w okolicy absolwenta Uniwersytetu Jagiellońskiego dra Piotra Sadowskiego.

Zajęcia zakończyły się ogniskiem oraz pieczonymi na nim kielbaskami (fot. 5). Myślę, że tak przeprowadzone zajęcia terenowe zostaną na długo w pamięci uczestników, rozszerzając równocześnie ich praktyczną wiedzę z przerabianego przedmiotu.

prof. dr hab. Andrzej Łysak
(Wydział Ekonomii i Zarządzania KSW,
specjalność: Agrobiznes)

Lustro weneckie,

czyli rzecz o lustracji

Zuwagą obserwuję postępy procesu lustracyjnego w naszym kraju, a właściwie... brak postępów. Nieodmiennie zaciękwiona procesami, jakie widać w naszym społeczeństwie, spróbowałam wniknąć nieco głębiej w przyczyny obecnego stanu lustracji.

Należałoby właściwie zacząć od powodów, dla których proces lustracyjny w ogóle zapoczątkowano, po co powstała ustawa lustracyjna, jaki miała cel i założenia. I tu odpowiedzi wydają się proste: u podstaw lustracji leżała troska o dobro nowo powstałego państwa, o jego stabilność i bezpieczeństwo. Chodziło o wyłączenie z możliwości wpływania na kształt i losy państwa ludzi, którzy by mogli szkodzić młodym i jeszcze nieutrwalonym dostatecznie strukturom.

Właściwie nie ma w tym nic zaskakującego, takie procesy w sytuacji porewolucyjnego kształtowania nowego systemu są czymś jak najbardziej naturalnym i mają miejsce w wielu krajach. Dlaczego więc w Polsce losy lustracji przypominają serial w rodzaju *political fiction*? Być może dlatego, że zamiast sensownie zorganizowanego w sferze prawnej procesu mamy chęć odwetu, zemsty i politycznego linczu, niemającą nic wspólnego z demokracją ani ze sprawiedliwością.

Nasza lustracja jest bublek legislacyjnym i niczym innym być nie może. Nie zajmują się tym procesem kompetentni prawnicy i historycy, tylko ludzie, którzy w realizacji procesu upatrują szansy na zdeprecjonowanie przeciwników politycznych. Każda kolejna ekipa zasiadająca u steru władzy wykorzystuje lustrację jak... lustro weneckie: ja widzę, mnie nie widać. Za owym lustrem niedostępni

oczom zwykłego obywatela nasi politycy żonglują zawartością teczek, dokładając, czyszcząc, prokurując i matacząc. Z tego powodu proces, który miał być szansą na „odkomunizowanie” najważniejszych składowych systemu, stał się jedynie narzędziem w bardzo nieczystej grze politycznej. Zarówno bowiem politycy, jak i zwykli obywatele nie są w stanie odróżnić własnych poglądów od możliwości prawnych, a wynikiem powyższego są ciągle niejasności i kolejne zaskarżenia wyroków Sądu Lustracyjnego. Pojawiają się również zagrywki czysto koniunkturalne w rodzaju posądzenia o współpracę ze Służbami Bezpieczeństwa pani Zyty Gilowskiej, którą co prawda z zarzutów oczyszczono, ale która w opinii publicznej i tak pozostała „zamieszana w sprawę” na zasadzie „czy on ukraść, czy jemu ukradli?” -nieważne, zamieszany i już.

Wynikiem takiego postrzegania lustracji i takiego jej wykorzystywania stała się m.in. sprawa lustrowania dziennikarzy piszących w czasach PRL-u. Gdyby wykładnią tego procesu miało być takie właśnie jego postrzeganie, to lustracji należałoby poddać właściwie każdego obywatela mającego wątpliwe szczęście żyć w czasach komuny, bo żeby dało się wtedy w ogóle funkcjonować, należało się do systemu jakoś dostosować. Oczywiście, nie miało to w lwiej części przypadków żadnego przełożenia na współpracę z SB, ale lekko ironizując, można by na bazie owej krzywej wykładni taki sąd zaryzykować.

Co ciekawe, jeśli przyjrzeć się wynikom sondaży OBOP na temat „Czy lustracja przyniosła więcej szkody, czy pożytku?”, ponad 60 procent responden-

tów odpowiada, że zaszkodziła w większym stopniu niż pomogła, a na pytanie „Czy lustracja jest potrzebna i winna być kontynuowana?”, ankietowani w przeważającym procencie odpowiadają, że jak najbardziej powinna być dalej prowadzona. Co z tego wynika? Przede wszystkim to, że lustro weneckie jest także krzywym zwierciadłem, w którym uzewnętrzniają się niskie instynkty ludzkie...

Czymże bowiem jest „dzika lustracja” w wykonaniu Bronisława Wildsteina czy Antoniego Macierewicza jak nie chęcią upieczenia przy lustracyjnym ognisku własnego kawałka pieczeni? Nie inaczej postępują politycy i duchowni, nie inaczej reagują na proces zwykli przeciętni ludzie. A sedno rzeczy leży w tym, że nikt z inicjatorów lustracji nie zadał sobie trudu spojrzenia na jej możliwe do przewidzenia skutki i nie zadbał o to, by na samym początku uniemożliwić taki rozwój sytuacji.

Naturalne pozostaje w tej sytuacji pytanie, czy jest za późno na przeciwdziałanie niepożądanym efektom lustracji. Czy można coś jeszcze zrobić, żeby ten w gruncie rzeczy i w swoim założeniu potrzebny element przybrał właściwe oblicze i zaczął spełniać funkcje, dla jakich został zapoczątkowany? Pytania te są w swojej istocie równie trudne, co fundamentalne, a recepta jest chyba tylko jedna – całkowita zmiana reguł prawnych odpowiadających za proces i powołanie do jego prowadzenia ludzi kompetentnych. Pozornie to rzecz możliwa, ale w rzeczywistości wysoce wątpliwa, a to za sprawą magii luster weneckich.

Dorota Zdechlikiewicz

(II rok, komunikacja społeczna, studia zaoczne)

W Krakowskiej Szkole Wyższej zorganizowano Noc Wyborczą

Amerykańskie wybory

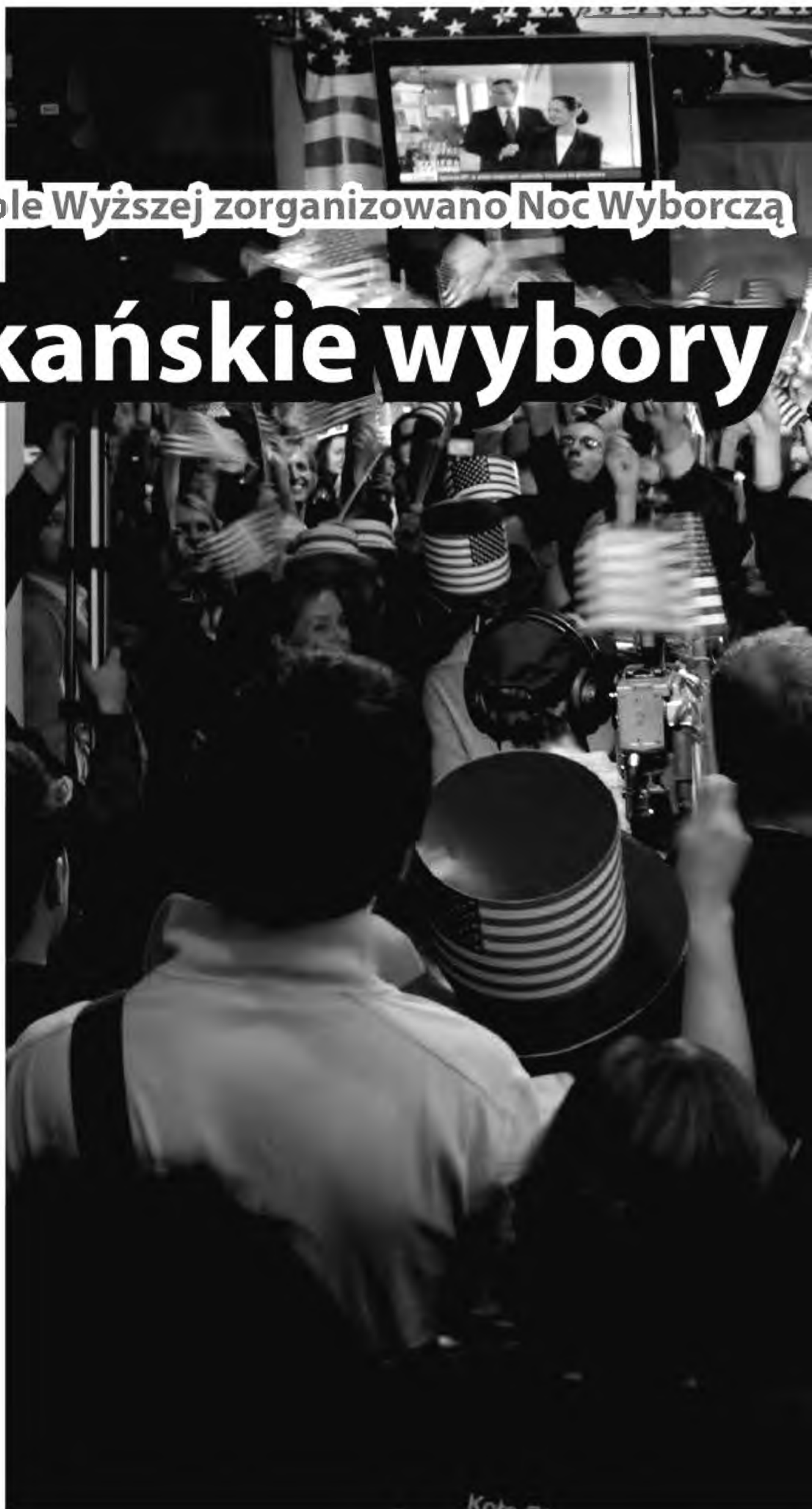
Mirka Kędzierska

4 listopada 2008r. – na tę datę Amerykanie wyczekiwali z ogromnym napięciem. Dwadzieścia miesięcy długiej i morderczej, jak również najdroższej kampanii wyborczej w dziejach Stanów Zjednoczonych dobiegły końca.

Przyjrzyjmy się jeszcze raz temu, jak wyglądała ta szczególna noc u nas w Polsce, w murach naszej uczelni. Ambasada Amerykańska wraz z Krakowską Szkołą Wyższą i Uniwersytetem Jagiellońskim już po raz drugi postanowiły zorganizować *Amerykańską Noc Wyborczą*. Wspaniałej zabawie towarzyszyło duże podekscytowanie związane z wyborem nowego przywódcy USA. Powód? Każdy chyba zdaje sobie sprawę z tego, że ta decyzja ma ogromny wpływ na losy całego świata.

Po okazaniu zaproszenia i legitymacji studenckiej można było wejść na teren uczelni, gdzie na początek każdy otrzymywał talony na jedzenie i picie. Oczywiście – typowo amerykańskie. Nie brakowało coca-coli oraz tłustego jedzenia. Trzeba było wystać się w długiej kolejce, zanim dostało się upragnionego hot doga. Nie da się ukryć, że panowie na stoiskach do konsumpcji mieli mnóstwo pracy.

Skupiając się jednak na politycznym charakterze imprezy, warto powiedzieć o tym, że każdy mógł wziąć udział w debacie – zarówno zwolennicy Johna Mc Cané'a, jak i ci sympatyzujący z Barackiem Obamą. Momentami aż wrzało od zażartych dyskusji. Podczas wieczoru





Fot. Grzegorz Ladra

Temat z okładki



Fot. Grzegorz Ladra





zaprezentowano także filmy biograficzne o obu kandydatach. Po rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw” każdy miał możliwość zagłosowania na swojego faworyta. Oczywiście nasze głosy nie miały żadnego znaczenia dla wyborów w USA, jednak, jak się później okazało, były zapowiedzią rzeczywistych wyników. W KSW Polacy wybrali Obamę.

Wszystkiemu towarzyszyła wspólna zabawa. Uczestnicy wieczoru byli optymistycznie nastrojeni, grała muzyka, a niektórzy mieli nawet odwagę, by rozpocząć żywiołowe tańce na parkiecie. Warto jednak podkreślić, że pomimo tego wszystkiego nie dało się ukryć emocji wyborczych – po każdym ogłoszonym wyniku poszczególnego stanu jedni radośnie wykrzykiwali swoją aprobatę, a drudzy z niezadowoleniem i rozczarowaniem przygryzali wargi.

Nie zabrakło oczywiście mediów: radia, prasy i telewizji. Mnóstwo kamer, świateł, fleszów z aparatów, jak również cała rzesza dziennikarzy, którzy starali się uchwycić najciekawsze momenty. Zaproszeni goście oraz studenci chętnie udzielali wywiadów, nie kryjąc swoich preferencji wyborczych.

Noc Wyborcza zakończyła się o godz. 1.30. W opinii studentów była bardzo udaną inicjatywą, która pozwoliła pozytywnie spojrzeć na politykę. Miejmy nadzieję, że dokonany wybór będzie satysfakcjonujący, a przy następnych wyborach pojawi się kolejna okazja do nocnego debatowania. ■

O niezależności rodem z Krakowa rozmawiamy z Maciejem Maleńczukiem

- Im bardziej jesteś „kimś”, tym bardziej musisz pamiętać, że jesteś nikim...

Lepiej być „nikim znikąd” czy jednak „kimś”?

- Uważam, że im bardziej jesteś „kimś”, tym bardziej musisz pamiętać, że jesteś nikim. Trzeba mieć dystans. Im bardziej potrafisz postawić się w roli zwykłego człowieka, tym lepiej dla ciebie. Jeśli coś znacysz, to przeżywasz rozterki, jakie przeżywają gwiazdy.

Czy w dzisiejszych czasach istnieje praktyczny aspekt pojęcia „niezależność”?

- Tak, choćby finansowa. Uważam, że osiągnąć taką niezależność to jest coś. W życiu należy robić to, co się lubi, lub stopniowo polubić to, co po prostu trzeba robić. Myślę, że całkowitej niezależności nikt by nie chciał. To byłby absurd, bo pozbawiasz się punktów zaczepienia. Jeśli nie masz hamulców, to daleko nie zajedziesz. Idea niezależności to mit, ale ta finansowa jest podstawą. Ona powinna cechować prawdziwego mężczyznę. Dopóki go nie cechuje, dopóty nie jest mężczyzną.

Skąd przekonanie, że sztuka w czasach zamordyzmu była lepsza?

- Sam się nad tym zastanawiam (*śmiech*). I chyba jeszcze nie znalazłem całkowitej odpowiedzi. Kiedyś było tak, że wszyscy mieli te same książki w domu. Jak gdzieś wydali Cortazara, to zaraz wszyscy go kupowali. Za socjału mieliśmy wspólny umysł. Oglądaliśmy serial „Czterdziestolatek” i tylko jak ktoś nie ma doświadczeń z tamtego czasu, to jest mu śmiesznie. Z drugiej strony uważam,

że socjalizm był dobry. Można by go kiedyś jeszcze wprowadzić, ale musiałoby być bardziej świadome społeczeństwo. Na pewno odklerykalizowane. W tej chwili kler przejmuje dusze...

A może to wszystko przez marketing. Przecież kiedyś debiuty nie były skażone plastikiem...

- Wiesz, kiedyś komunizm nie dopuszczał artystów do zła. Stąd artyści socjalizmu to kilka-kilkanaście zespołów. Naród miał niesamowity czad intelektualny, który się wydryłował z przyczyn emigracyjnych. Ci, którzy mieli możliwość ucieczki, wyjechali. Został chłam. Zostały trociny, przez które ludzie muszą się przedzierać. Trociny, które wrzyna się ludziom do gardła i blokują im głos. Na każdej gałęzi siedzi po siedem gwiazd. Jedni mają łyżwy na nogach, drudzy nie potrafią śpiewać, a jeszcze innym zagląda się pod spódnicę. I śmieszy mnie, jak ktoś się czepia o tego „Idola”, którego zrobiłem z premedytacją i osiągnąłem cel.

Wspominałeś o pisarzach. To prawda, że cenisz Sławka Shutego?

- Tak. Uważam, że w ostatnich czasach to jeden z tych pisarzy, którzy piszą o bliskich sprawach. Czytuję też Dukaja, choć on ucieka w świat fantasy i gdybym ja coś pisał, to na pewno bym uciekł z tych jego śniegowców. A on w nich siedzi i mu dobrze (*śmiech*)...

Pozostając w temacie literatury... To jak wygląda obecne „Chamstwo w Państwie”?

- No myślę, że jest całkiem nieźle (*śmiech*). Dobrze, że zapytałeś, bo właśnie zamierzam zrobić wznowienie. Sprzedałem to Wydawnictwu Literackiemu, ale oni nie chcą robić dodruku, więc wydamy to sami i będziemy sprzedawać przez Internet. Nawet nie wiem, czy umowa z wydawnictwem w ogóle wygasła...

Przez ostatnie lata Maciej Maleńczuk pisze, gra w teatrze. Dlaczego? Dla sprawdzenia się?

- Teatr chciałem sprawdzić. Ale już go nie chcę. Z pewnością, jak kiedyś osiadę i przestanę podróżować, to będę pisał. W podróży nie można tego robić. Muszę poczuć, że jestem w stanie prowadzić osiadły tryb życia. Właściwie to już to czuję, ale wciąż nie ma możliwości. W sumie walczyliśmy o kontrakty i one są. To nie jest dobry moment, by się wyłączać.

A jak indywidualiście się pracuje w duecie? Mam na myśli przygodę w Wojciechem Waglewskim...

- Już więcej tego nie zrobię. Waglewski jest moim bardzo dobrym kolegą, ale w takim projekcie jest dziwny układ. Jeden przyprowadzi perkusistę, drugi dorzuci swoją dziewczynę, następnie ktoś zarekomenduje kuzynkę. Potem koleżanka, fanka..., a to są moi techniczni i moja sekcja A i B i C. My z Wojtkiem się znakomicie dogadujemy, ale cała ta hałastrą jest strasznie nadęta. Kiedy w Sopocie chciałem pożyczyć gitarę, to mi powiedzieli, że dopóki Waglewski nie przyjedzie i nie da pozwolenia, dopóty mi nie



Maciej Maleńczuk: - W życiu należy robić to, co się lubi...

dadzą i już. Potem Wojtek przyjeżdża i mówi: „Bierz”. A ten kretyn z obsługi nie pozwolił mi użyć gitary na próbie, „bo Wojtka nie ma”... Pozdrawiam cię, Wojtek, i naprawdę świetnie wytresowałeś sobie ekipę (*śmiech*).

Taki też jest „Psychodancing”?

- Tak. To całkowicie faszystowski band, oparty na hierarchii, na wzór ekipy Waglewskiego (*śmiech*). Każdy wykonuje to, co do niego należy, i nie ma równych stawek.

A jak obecnie ma się kultura alternatywna? Istnieje jeszcze coś takiego?

- No wiesz, w tej chwili to wszystko, czego nie puszcza Radio Zet i RMF FM. Oczywiście, o telewizyjnych kanałach nawet nie ma co gadać. Ten klimat nadal istnieje. Nam pozostaje tylko rozszerzać ową sferę i nie pchać się na salony. Choć właściwie ja już byłem na salonach i wiem, że tam nie ma niczego szczególnego...

Co dla Macieja Maleńczuka jest sztandarem Krakowa?

- Architektura, zdecydowanie. Ludzie się zmieniają, może w Krakowie nie tak często, ale jednak. Architektura jest stała. Wystrój wnętrz. Oczywiście czasem aż prosiłoby się o jakieś przemeblowanie (*śmiech*)...

Klimat Krakowa to mit, imaginacja czy prawda?

- Przygotowuję się właśnie do większej formy krótkiej, w której będzie mowa o tym, za co kocham i za co nienawidzę swojego miasta. To w ogóle dobre pytanie w moim kierunku, ale wolałbym teraz nie wyciągać pochopnych wniosków. Obecnie przebywam w Krakowie od strony sceny. Jeżeli jestem tu prywatnie, to przychodzę do „Alchemii”, gdzie gra Peter Brötzmann...

- Też byłem na Brötzmannie...

- Byłeś? Widziałeś, ile było ludzi? Powiem tak: jeżeli nadal w takim średnim miasteczku jak Kraków znajdzie się dwieście osób, które tak jak my wiedzą, kto to Peter Brötzmann, to nie jest źle!

*Rozmawiał
Bartosz Walat*

„The Quilt”

- trzecia płyta świetnego amerykańskiego bandu

„Gym Class Heroes”

Genetyczna pomyłka czy znak naszych czasów, czyli bajka o muzycznej hybrydzie

Joanna Oparcik

W świecie muzyki mówi się, że drugi album jest najważniejszy. Po spektakularnym debiucie często bywa sprawdzianem, który pozwala oddzielić autorów jednego przeboju/jednej płyty od tych naprawdę obiecujących, tworzących muzykę na wysokim poziomie, mających coś do powiedzenia. Ale potwierdzeniem prawdziwej klasy dla tych, którzy zostali, jest płyta numer trzy – najczęściej pierwsza dojrzała. To wtedy często następuje zmiana stylu, jest miejsce na eksperymenty i ryzykowne działania.

Nie inaczej stało się z trzecią płytą świetnego amerykańskiego bandu „Gym Class Heroes”, których „Cupid’s Chokehold” zamęczało nas poprzedniego roku we wszystkich klubach, sklepach i imprezach plenerowych. Świeżo wydana – 9 września – zaprasza na przejażdżkę nie tylko po dobrze już poznanym świecie rocka wymieszanego z rapem i bluesem, ale także zalewa nasze uszy morzem dźwięków z nurtów wydawałoby się tak odległych, jak ska, dance z lat 80. czy reggae.

A więc nie inaczej, a jednak inaczej. W tym wypadku nie ma miejsca na eksperymenty, skoro cała formacja jest jak jeden, wielki wybryk muzogenetyczny. Ten zespół, składający się z byłego fight-

rapera, jazzowego perkusisty, gitarzysty zakochanego w metalu i basisty o rockowych korzeniach, nie pozostawia cienia wątpliwości, że ich muzyka przysporzy nam sporych kłopotów przy określaniu nurtu, z jakiego się wywodzi. Wraz z charyzmatycznym liderem Travisem McCoyem przedstawiają nam album zatytułowany „The Quilt”.

To najbardziej eklektyczna jak dotąd płyta. Nieco psychodeliczna okładka pozwala nam się choć trochę oswoić z tym, z czym zaraz będziemy mieli do czynienia. Sam wokalista też jest uosobieniem tworzonej przez siebie muzyki – to syn irlandzko-indiańskiej Amerykanki i haitańskiego ojca. Wystarczy też pooglądać ich teledyski (polecam youtube.com), żeby się przekonać, że nie powinniśmy brać ich muzyki zbyt dosłownie – tak jak zwariowana jest ich muzyka, tak specyficzne są ich klipy. Wielokrotnie nasmiewają się z napuszonej, branej zbyt poważnie kultury bling-bling na scenie hiphopowej, ale również z tego nachalnego, zakłamanie niezależnego nurtu muzyki rockowej. Oni od tego uciekają każdy, a ich teledysk to jakby kuksaniec w bok – hej, zwróć uwagę, ale nie bież tego zbyt dosłownie.

Potwierdzeniem tego może być pierwszy singiel z nowej płyty – już sam tytuł „Cookie jar” jest nieco przewro-

ty, a teledysk (z gościnnym udziałem The Dream – producenta takich postaci jak Rihanna czy Usher) bynajmniej nie rozwiewa tego wrażenia, ale wręcz coraz bardziej wkręca nas w ironiczne klimaty. Z jednej strony mamy „Peace Sign/Index Down” wyprodukowane przez słynny duet Cool & Dre – utwór hiphopowy, chyba jak dotąd najbardziej „czysty” w dorobku grupy (wraz z gościnnym występem Busta Rhymesa), poprzez klasyczne nuty rodem z czarnych klubów lat 30. Chicago czy wyraźne wpływy reggae w „Blinded by Sun” (z gościnnym występem Patricka Stumpa z Fall Out Boy), z drugiej strony utwory, które nie boją się odnieść do brit popu jak np. No Place to Run.

Pierwszy singiel to dobry przykład tego, z jakim bandem mamy do czynienia – Travis porównuje tu uzależnienie od cukru i innych słodkości (a szczególnie owych ciastek) do uzależnienia od kobiet, seksu i zdrad z chwytliwym refrenem „I can’t keep my hands out the cookie jar”. Na płycie jest też miejsce dla innych członków zespołu – „Live a Little” czy „Home” to utwory, na których znajdziemy naprawdę porządne gitarowe granie.

„Gym Class Heroes” przez swoją multigatunkowość mogą zdobyć szeroką bazę fanów nie tylko wśród hiphopowców czy fanów rapu, ale także miłośników rocka, reggae, a nawet garage’u. Taką siłę wyrażają w wolności twórczej nieograniczonej oczekiwaniami fanów do bycia wiernym jednej stylistyce – nigdy nie tworzyli muzyki czystej gatunkowo i nie są narażeni na zarzuty porzucenia własnego stylu. To chyba właśnie rodzaj bandu nowej ery – artyści nie interpretują już tak dosłownie danego nurtu, nie czują się zobowiązani obracać w zamkniętych ramach danego stylu. Dziś chętnie korzystają zarówno z odniesień do klasycznych twórców, etnicznych tradycji, jak i chętnie sięgają po nowe, często zaskakujące środki ekspresji.

Niestety, polscy fani kolejny raz – jeśli chcą posłuchać GCH na żywo – muszą się wybrać do naszych zachodnich sąsiadów. Trasa promująca nowy krążek najdalej w Europę zagłębi się w Berlinie i Kolonii. Widocznie organizatorzy trasy przestraszyli się pogłosek o spacerujących polskimi ulicami białych niedźwiedziach polarnych wraz z odzianymi w enerdowskie, błyszczące ortaliony właścicielami...

23 października br. odbył się „AERO STEREO FESTIVAL” zorganizowany przez samorządy studenckie Krakowskiej Szkoły Wyższej, Politechniki Krakowskiej i Akademii Pedagogicznej, które wspólnymi siłami postanowiły przygotować niebanalną imprezę dla studentów i mieszkańców Krakowa.

Miejsce wybrano znakomite – hangar lotniczy Muzeum Lotnictwa Polskiego przy al. Jana Pawła II. Wiele osób mogło więc podziwiać stare samoloty i śmigłowce rozstawione w pobliżu sceny. Nad bezpieczeństwem uczestników czuwała gromada ochroniarzy oraz patrol studencki, a opiekę medyczną sprawował „Scanned”, główny sponsor koncertu.

Pierwszy pojawił się na scenie znany kolektyw muzyczny „Beats Friendly”, czyli Novika, DJ Lexus oraz Banan.

„AERO STEREO FESTIVAL”

Dr Alban jak za dobrych lat

Dawid Krąkowski



Novika, istny ogień w tańcu, nie przejmowała się słabą frekwencją i od początku robiła swoje. Trochę nieobecna, niby we własnym świecie, co jakiś czas próbowała nawiązać kontakt z publicznością. Chcąc utrzyć nosa tym, którzy stali jak kołki, zdradziła, że na scenie nie ma ogrzewania, ale mimo to ona tańczy i ciągle pozbywa się jakiejś bluzy.

Tymczasem w tle DJ Lexus wykonywał profesjonalną robotę, wykręcając pokręta swojej konsoli i sprawiając, że mikсовana muzyka porywała do tańca. Warto dodać, że atrakcyjnym elementem muzycznym okazał się saksofon, którym Banan nadawał ciekawego urozmaicenia i akcentu wszystkim kompozycjom, jakie kolektyw tworzył dla widzów na scenie. Mimo że nadal twierdzę, iż tzw. muzyka klubowa najlepiej nadaje się do kameralnego klubu, gdzie dziewczyny mogą nieco bardziej eksponować swe wdzięki, niż stać w zimnym w hangarze, to jednak muszę przyznać, że niespełna dwugodzinny set ze strony ekipy z „Beats Friendly” wypadł rewelacyjnie. Pod sam koniec hala prawie całkowicie zapelniła się ludźmi.

Parę minut później na scenie pojawił się oczekiwany gość specjalny, czyli Dr Alban ze świtą. Najbardziej rzucał się w oczy upływ lat artysty, gdyż jego fryzura nie była już taka rozbrykana jak niegdyś, a i ubiór sceniczny (marynarka) znacznie odbiegał od image'u showmana eurodance.

Na początku Dr Alban trochę niemrawo, z ręką w kieszeni odśpiewał parę swych numerów. Wydawało się, że przyszedł na odczepne, jednak po kilku piosenkach rozruszał się, widząc, jak ludzie reagują na jego hity. Wśród zagranych numerów można było usłyszeć m.in. „Sing Hallelujah”, „Look Who's Talking”, „No Coke”, „This Time I'm Free”, „Chiki Chiki”. Ten ostatni stał się dla Dra Albana pretekstem do małych słownych droczeń z publicznością i okazją do tworzenia nowej wersji piosenki wraz z nią.

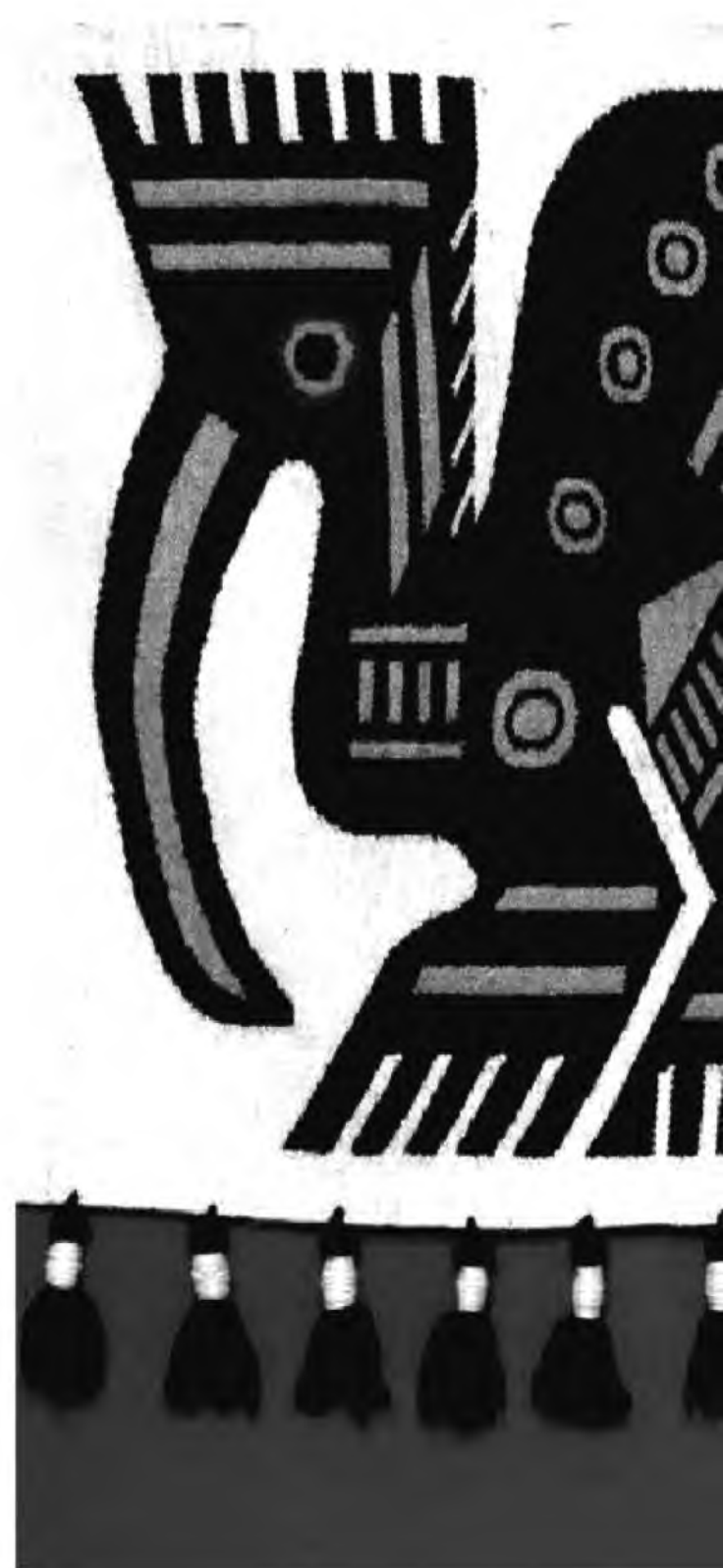
Rozbawieni studenci wymusili na artyście zaśpiewanie największego przeboju, skandując „It's My Life”. Dr Alban tak szybko nie uległ prośbom i zanim wykonał proszony numer, pomęczył publiczność, sprawdzając ich zdolności wokalne przy refrenie. Była to dobra okazja, żeby usłyszeć realne zdolności głosowe artysty, który w moich oczach wyszedł z tego obronną ręką, udowadniając, że ciągle ma dobry wokal. Po niespełna 45 minutach i jednym bisie „Doktorek” pożegnał się z uczestnikami i udał się na spoczynek.

Nie zawiedli też inni wykonawcy, np. DJ Bart & DJ Osa. Zaśpiewali własne hity, wplątując w nie skecze i słowne dogrywki. W sumie „AERO STEREO FESTIVAL” okazał się imprezą bardzo udaną (pomińmy nieciekawą pogodę). Miejmy nadzieję, że następne będą jeszcze lepsze. ■



Wystawa „Ekwador
– wzory kultur na równiku”
w Muzeum Etnograficznym

Zabierzcie swoje pióropusze i w drogę



Joanna Oparcik

Wmieście takim jak Kraków trudno się nudzić. Oczywiście, malkontenci narzekają niejednokrotnie na nieco zaściankowy klimat naszego kochanego miasta, ale nie oszukujmy się – w Polsce żadne miasto nie jest w stanie konkurować z prawdziwymi europejskimi stolicami kultury: ani „wielka” Warszawa, ani mieszczański Poznań, ani rozwinięty Wrocław. Dlatego też każde kolejne wydarzenie kulturalne w Krakowie powinno być witane z radością. Możemy oczywiście różnie oceniać jego poziom, ale należy docenić przede wszystkim już samo pojawianie się kolejnych inicjatyw.

Okres letni i wczesnojesienny rozpieszcza nowymi wystawami i wydarzeniami kulturalnymi. Obok prezentacji

dzieł współczesnych np. w Muzeum Narodowym nie zapomniano o kulturach dawnych i często dla nas egzotycznych. Muzeum Etnograficzne zaprasza nas na zapoznanie się z dość słabo u nas znaną kulturą Ameryki Południowej, a dokładniej spuścizną Ekwadoru.

„Ekwador – wzory kultur na równiku” to wystawa, która składa się głównie z eksponatów zebranych przez ambasadora Ekwadoru w Polsce Fernanda Floresa. Być może niektórzy będą zawiedzeni liczbą zebranych przedmiotów (w tym miejscu szczególnie pozdrawiam pana, który razem ze mną oglądał wystawę i nie zapomniał poskarżyć się Bogu ducha winnej recepcjonistce, że wystawa go wysoce nie satysfakcjonuje...), ale myślę, że zarówno sposób prezentacji, jak i wybór spełniają swoje najważniej-

sze zadanie – pozwalają poznać Polakom kulturę Ekwadoru powstałą na przestrzeni wieków.

Organizatorzy wystaw zawsze stoją przed trudnym zadaniem. To nie sztuka zebrać jakieś przedmioty. Kłopotem, któremu wiele wystaw nie daje rady, jest ekspozycja dzieł. Nie może być nudno, ale oprócz tego musi być przejrzystość. Przeważającą liczbę osób, które odwiedzają wystawy tematyczne, nie są przecież specjaliści i eksperci, ale tzw. zwykli śmiertelnicy – my, którzy nie znamy się na danym temacie.

Nie inaczej rzecz się ma i w tym wypadku. Owszem, wiemy, gdzie leży Ekwador, mniej więcej kojarzymy historię, która rozegrała się na terenach Ameryki Południowej (kultura inkaska, później najazdy Hiszpanów, wyprawy misyjne),



ale trudno by nam było powiedzieć, że cokolwiek slyszełismy o artystycznym obliczu tego kraju.

Wystawa w Muzeum Etnograficznym została podzielona na cztery sale, z których jedna, multimedialna, prezentuje filmy powstałe w ciągu ponad 10 lat przez Borysa Malkina, etnografa i entomologa. Autor poświęcił wiele lat, mieszkając tuż obok ludności tubylczej i rejestrując ich codzienne życie: działalność zarówno użytkową, jak i artystyczną. Hipnotyzująca jest siła tych filmów – w ciemnej sali, na bardzo wygodnych wielkich pufach zagłębiamy się w świat przemijającej kultury. Grupy, których życie filmował Malkin, prowadziły dość prymitywny styl życia. Mając wtedy jeszcze mały kontakt ze światem zachodniej kultury, zachowały swoją odrębność i oryginalność.

Poczynając od pierwszej sali, prezentującej liczne gliniane wytwory człowieka (niektóre z nich liczą nawet kilka tysięcy lat!), poprzez drugą, która prezentuje nam stroje i narzędzia powstałe już pod wpływem Hiszpanów, aż do sali z współczesnymi wyrobami (które, szczerze mówiąc, jak dla mnie pachniały trochę tandetną cepeliadą – wiecie, tak jak ciupagi na Krupówkach) – wystawa przeprowadza nas przez duszny, tropikalny kraj indiańskiej ludności, dziś walczącej o zachowanie własnej umierającej tożsamości.

Choć jest oczywiste, że zebrane przedmioty robią wrażenie, dla mnie równie mocno zachwycająca pozostaje strona techniczna wystawy. Byłam pod wrażeniem, jak sprawnie można pokazać trudną w ekspozycji

małą grupę przedmiotów – niektóre z figurek są bardzo drobne, ale organizatorzy, stosując szklane postumenty i czerwony piasek, doskonale wybrnęli z niełatwego zadania. Nastrojowa muzyka współgrająca z każdą salą doskonale dopełnia, ale nie przeszkadza w oglądaniu wystawy.

Piękno przedmiotów robi wrażenie, szczególnie te najstarsze i wydawałoby się najbardziej prymitywne. Równie ważne są kolory – intensywne i dające pojęcie o bogactwie etnicznym Ekwadoru. Jednak to, co sobie uświadomiłam, to wyjątkowość człowieka. Choćby nie wiem na jak „niskim” (według współczesnych, europejskich wzorów) poziomie stała dana kultura, człowiek jawi się jako gatunek wyjątkowy. ■

W gruncie rzeczy spór między Lechem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem o udział w szczycie europejskim był drobiazgiem niewartym aż takiej zawieruchy...

Podwójny nelson



Opinie publiczną mocno zbulwersowała sprawa wyjazdu na szczyt Unii Europejskiej czołowych polityków. Pozornie rzecz dotyczyła kwestii nieudostępnienia miejsca w samolocie panu prezydentowi przez pana premiera i wokółliczby miejsc siedzących, przeznaczonych dla każdej reprezentacji w sali obrad, jednym słowem – wokół kwestii, czy Lech Kaczyński poleci na szczyt, czy nie poleci. Ostatecznie prezydent polecił, premier także...

Cała rzecz wydaje się jednak o wiele poważniejsza, bo ów na pozór niegroźny konflikt ujawnił istnienie różnic, nad którymi należałoby się zastanowić. We mnie poczynania obu panów wzbudziły niesmak i głębokie zaniepokojenie. Fakt, że premier nie udostępnił głowie państwa miejsca w samolocie, że w publicznej wypowiedzi nie wahał się powiedzieć, iż pan prezydent „*jest mu na szczycie niepotrzebny*”, był w mojej ocenie absolutnie niedopuszczalny. Z kolei to, że pan prezydent nie wiadomo dla czego uparł się uczestniczyć w obradach Parlamentu Europejskiego, chociaż nie miał nic do powiedzenia, nie przygotował się do tematów tamże poruszanych i w ostatecznym rozliczeniu przyjął pozycję doniczki z paprotką, budzi refleksję, dlaczego tak bardzo walczył o swój udział w szczycie.

Obraz, jaki wyklarował się w wyniku tych wydarzeń, jest dość jasny, chociaż wysoce niepokojący. Cóż się bowiem okazuje? Dwaj najwyżsi rangą politycy nie potrafią dojść do porozumienia w prostej w gruncie rzeczy sprawie. Co więcej – swoje prywatne animozje

przenoszą na grunt już nie tylko polityki wewnętrznej, ale i na forum międzynarodowe, ośmieszając nasz kraj, podkopując wiarygodność Polski jako stabilnego i rzeczowego partnera w dyskusji, stawiając własne, ambicjonalne zadęcie ponad interes narodu, któremu przysięgli służyć.

Oczywiście, racji, jakie mogliby obaj na swoją korzyść przytoczyć, jest tak wiele, że na wołowej skórze by nie spisał... W całym jednak sporze zabrakło jednej racji – racji stanu. Zabrakło także obu panom klasy politycznej, co konstatuję ze smutkiem i rozgoryczeniem. Doprawdy poziom, na jakim odbywał się ów spór, kazał oczekiwać tego, że jeden drugiemu odsunie w ostatniej chwili krzesło, nie poda ręki albo sięgnie po jakikolwiek inny, szczeniacki dowcip. To, że dwóch ludzi może się nie lubić, nie jest niczym nadzwyczajnym.

Nie oczekuję, że pan Kaczyński będzie chadzał z panem Tuskiem na piwo, spotykał się z nim w gronie rodzinnym, wysyłał kwiaty i koniak z okazji imienin, urodzin i rocznicy ślubu. Prywatnie panowie ci mogą żywić do siebie wszelkie uczucia, nie moja to sprawa. Jednak w momencie, kiedy zdecydowali się pełnić służbę publiczną, powinni dolożyć wszelkich starań, by ich współpraca układała się poprawnie. Do tego zobowiązuje ich złożona przysięga, a także zaufanie milionów rodaków. Tak rozumiem wypełnianie obowiązków.

Owszem, trzeba mieć klasę, żeby umieć przedłożyć dobro kraju ponad własne interesy, czasem schować dumę do kieszeni i w sytuacji konfliktu wyjść z niego z twarzą. Też klasy jednak naszym politykom zabrakło. Obydwie kan-

celarie staną teraz na głowie, by z tragicznej farsy, jaką nam zafundowali prezydent i premier, zrobić dobry użytek, przygotować jak najbardziej społecznie strawny farsz do kolejnej kiełbasy wyborczej. Zwolennicy PO i zwolennicy PIS będą z kolejnych wypowiedzi i konferencji prasowych wyluskiwać pieczołowicie każdy element mogący świadczyć o tym, że to ich racja jest lepsza, a jakże... Nie wielu zastanowi się, że w gruncie rzeczy ów spór był drobiazgiem niewartym aż takiej zawieruchy. Dzięki niemu jednak mogliśmy się przekonać, jak ulomna i niesprawna jest nasza klasa polityczna, jak wydajemy się bezbronni w obliczu zagrożeń, jakie mogą nam się przytrafić. Logika bowiem nakazuje mniemać, że gdyby zdarzył się konflikt o wyższej randze, sytuacja nie byłaby inna, a to nie wywołuje już nawet ironicznego uśmiechu.

Szczyt minął, powoli gasną emocje związane ze sporem kompetencyjnym. A ja nie mogę jednak w spokoju czekać na kolejny występ polityczny duetu Kaczyński – Tusk, dlatego, że panowie założyli sobie wzajemnie tytułowego podwójnego nelsona: skompromitowali Polskę w oczach społeczeństwa i opinii międzynarodowej, stracili twarz i doprawdy nie wiem, jak się ułoży ich dalsza współpraca. Obawiam się, że nadal aktualne będą słowa naszego wielkiego poety Jana Kochanowskiego:

Ciesz mi ten rym: Polak mądry po szkodzie: lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie, nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą, i po szkodzie głupi.

Dorota Zdechlikiewicz

(KSW, II rok komunikacja społeczna, studia zaoczne)

Redakcja Magazynu Studentów

„MIXER”

serdecznie zaprasza

wszystkich zainteresowanych współpracą
na kolegium redakcyjne, które odbędzie się

11 grudnia (w czwartek)

o godz. 12:00

w pokoju Samorządu Studenckiego KSW (048).

Redakcyjni dziennikarze oraz chętni, którzy chcieliby
brać udział w kształtowaniu naszego pisma,
proszeni są o przybycie.

**Zaproszenie kierujemy zwłaszcza do
studentów I roku!**

Poszukujemy dziennikarzy i fotoreporterów!!!

Jeśli lubisz pisać, chcesz podszkolić swój
dziennikarski warsztat bądź nabyć nowe
doświadczenie – dołącz do nas!!!

Krakowska Szkoła Wyższa im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



30 wydanie czasopisma miXer